

## Marta Kwaśnicka: Krytyk w drodze do Poznania

Czepiam się, spieram i stawiam wysokie wymagania, których nie stawiałabym innemu krytykowi – ale oczywiste jest, że Andrzej Horubała to autor wyjątkowy, że od niego po prostu należy wymagać więcej



Czepiam się, spieram i stawiam wysokie wymagania, których nie stawiałabym innemu krytykowi – ale oczywiste jest, że Andrzej Horubała to autor wyjątkowy, że od niego po prostu należy wymagać więcej - przeczytaj recenzję książki *Droga do Poznania*, która ukazała się na blogu o kulturze

Andrzej Horubała to krytyk znakomity. Mówimy tutaj o prawdziwym darze; o przenikliwości połączonej z talentem do opowiadania o tym, co dostrzeżone. To także krytyk skrajnie polityczny – w starym sensie rozumienia polityczności. Sprowadza wszystko do konkretności, pyta autorów o pobudki. Bada konsekwencje, jakie dane dzieło ma tu i teraz dla wspólnoty, do której jest kierowane. Zadaje twórcom pytania, które można byłoby zadać politykom. Łapie ich na niekonsekwencjach, przekłamaniach, konformizmie. Wszystko testuje na sobie i swojej biografii. Czyni z krytyki linię frontu, miejsce intelektualnej konfrontacji. Dzięki temu kultura, zwykle przedmiot bladych ochów i achów wygłaszanych przez kolegów dla kolegów, niemal zupełnie nieważny z punktu widzenia codzienności, ponownie staje się atrakcyjna dla wszystkich. Chyba to właśnie sprawiło, że publicysta „Do Rzeczy” stał się autorem kultowym, docenianym powszechnie nawet przez tych, którzy się z nim nie zgadzają.

Horubała wydał właśnie swoją trzecią książkę krytyczną – co jest znakomitą wiadomością dla tych, którzy cenią jego pisanie o kulturze. Ale, niestety, jest ona najmniej frapująca z dotychczasowych.

Najnowszy zbiór tekstów publicysty, „Droga do Poznania i inne zapiski”, to tom okazałych rozmiarów. Zbiera artykuły z lat 2012, 2013 i 2014, publikowane m.in. na łamach dawnego „Uważam Rze” oraz w pierwszych kilkudziesięciu numerach „Do Rzeczy”. Znajdziemy w tym zbiorze teksty polemiczne i gniewne; znajdziemy zachwyty oraz artykuły bardziej osobiste, zdradzające historię zaangażowań ich autora.

Są tam oczywiście teksty świetne, które z pewnością mogłyby trafić do kompilacji „The best of Horubała”, gdyby taka publikacja miała kiedyś powstać. Znakomity jest, jak zwykle, artykuł o Jarosławie Marku Rymkiewiczu („Przemilczenia Rymkiewicza”), ale także analizy krążące wokół postaci Józefa i Stanisława Cata Mackiewiczów oraz publicystyki Piotra Zychowicza – tak jakby dzieła pisarzy i publicystów, do których jest mu najbliżej, widział Horubała najbardziej jasno. Jeśli chodzi o talent do odnajdywania w dziełach sztuki polskich fantasmagorii i tropienia ich politycznych konsekwencji, Andrzej Horubała był zawsze i pozostaje niekwestionowanym mistrzem. Może jest tak dlatego, że w przypadku Rymkiewicza czy Zychowicza krytykowi łatwo jest przymierzyć się do opisywanych przez siebie autorów i zobaczyć, gdzie jego i ich wrażliwości od siebie „odstają”.

### **Przewidywalnie i zachowawczo**

Pisanie tekstów z tak dużą częstotliwością, z jaką robi to publicysta „Do Rzeczy”, skłania do posiłkowania się wyświechtanymi argumentami i metaforami (jest to widoczne zwłaszcza w kontekście Smoleńska). Czasami jednak widać, że mamy do czynienia z czymś więcej niż tylko skrótami myślowymi czy okresowym zmęczeniem i że deklaracje krytyka, że mówi on zawsze tylko we własnym imieniu, a nie w imieniu swojego środowiska, bywają na wyrost.

Bo w swoich tekstach z lat 2012-2014 okazuje się Horubała dość przewidywalny: zasadniczo nie chwali tych, których nie powinno się chwalić (robi wyjątek dla kilku postaci związanych z „Krytyką Polityczną”, ale to na prawicy nie jest bynajmniej aktem

obrazoburczym i wyjątkowym). Pokłada nadzieję w nazwiskach, w których wszyscy pokładają nadzieje (Dorota Masłowska). Tych, którzy są dla niego niewygodni, zbywa milczeniem. Nie wychodzi niepotrzebnie przed szereg – dzieła autorów, których w jego środowisku się nie krytykuje, owszem, poddaje analizie, ale nie publikuje tego w prasie wysokonakładowej (bardzo dobry artykuł „Ukryte prawdy Wildsteina” miał premierę w internecie).

Horubała nie podejmuje też żadnej dyskusji z mesjanizmem, który kilka lat temu w różnych wersjach opanował niemal wszystkie redakcje młodej prawicy jako jedna z kilku z generacyjnych mód i aż prosiło się, żeby ktoś, zamiast zaklinać rzeczywistość podejrzanymi terminami, pochylił się nad nimi w sposób życzliwy, ale krytyczny. Któż jak nie on, katolicki kiler, którego wszyscy młodzi czytają z uwagą, nawet jeśli nie podzielają jego opinii? W gorące spory młodych środowisk Horubała wchodzi jedynie mimochodem, od czasu do czasu i na ogół po to, by odesłać wszystkich do Michała Łuczewskiego. Bardzo cenię dorobek Michała, ale przecież i z nim można się o niejedno pospierać – chociażby właśnie o mesjanizm. Także René Girard wszystkiego nie załatwi.

Dalej – publicysta „Do Rzeczy” podziela większość idiosynkrazji prawicowego salonu. Reaguje wysypką na nazwiska i słowa, na które trzeba w jego środowisku taką wysypką reagować. Prędzej zrozumie nieszczęśliwie zakochanego homoseksualistę („Płynące wieżowce, rozmyte granice”) niż walczącą o podmiotowość feministkę – i to jest dość symptomatyczne. Ów nabyty środowiskowo brak wrażliwości sprawia też, że zdarza się Horubale w „Drodze do Poznania” nie uchwycić do końca sensu dzieła – jest tak na przykład w przypadku „Morfiny” Szczepana Twardocha.

Byłabym jednak niesprawiedliwa, gdybym nie dostrzegła, że i o ideologicznych oponentach Horubała potrafi pisać rewelacyjnie – przykładem niech będą „Widzę inaczej”, artykuł, w którym krytyk testuje na sobie teorie na temat homofobii i doskonale się w nich odnajduje, lub tytułowa „Droga do Poznania” o słuchaniu Marii Peszek. Retorycznie znakomite są także eseje „Teatrolog wśród smoleńskich zgliszczy” i „Teatr narodowej zdrady”, chociaż mój odbiór omawianych tam dzieł – zwłaszcza książki Dariusza Kosińskiego – był bardziej zniuansowany. Także poruszający artykuł powstały na marginesie „Włoskich szpilek” Magdaleny Tulli zrobił na mnie wrażenie już podczas lektury w prasie.

Autora „Drogi do Poznania” interesuje w zasadzie tylko to, co dzieje się w szeroko pojętym mainstreamie. To stosunkowo bezpieczny teren łowiecki – tam wszystko zostało już oswojone i nic nie jest kontrowersyjne; można się tam na coś skrzywić lub kogoś poklepać po plecach, nie zmienia to jednak istniejącego status quo. Horubała nie odnotowuje natomiast najważniejszych zjawisk spoza głównego nurtu – jego sporadyczne wypadki w stronę rzadziej recenzowanych zjawisk są zwykle omówieniem książek znajomych. Nie jestem zawodowym krytykiem, nie śledzę zbyt wnikliwie tego, co dzieje się w świecie kulturalnym, ale i tak, czytając „Drogę do Poznania”, widzę, że spory obszar rzeczywistości, chociażby działalność kilku poetów, pozostał nieopisany – i w tym sensie trudno książkę Andrzeja Horubały traktować jako wiarygodną kronikę wydarzeń kulturalnych z lat 2012-2014.

**Dajmy szansę dojrzewać**

Bywa w końcu publicysta przesadnie przywiązany do biograficznej czystości autorów – co objawiło się zwłaszcza w kontekście konferencji na temat Andrzeja Bobkowskiego, podczas której na oczach widzów kruszył się mit niezależnego, przenikliwego i zawsze prawego chuligana („Bobkowski wymyślony”).

Doskonale rozumiem ten zawód. Jak rzadko kiedy potrzeba nam pisarzy, którzy dają świadectwo temu, co piszą. Tak, twórcy nie są amoralnymi zwierzątkami, co tak trafnie wypunktowane zostało przez Horubałę w kontekście Cata. Ale przecież – tu spieram się już nie tyle o Bobkowskiego, ile o zasadę – pęknięcia w autorskiej autokreacji nie muszą prowadzić do przewartościowania oceny dorobku pisarza, nawet jeśli odkrywanie prawdy o idolu bywa bolesne. Przecież w literaturze czasem zdarza się tak, że ludzie marni piszą świetnie i pożywnie duchowo, a dzielni – kiepsko i płytko, więc degradowanie lub rugowanie kogoś z pola widzenia jedynie z powodu potknięć w biografii, czasem w dodatku rzekomych, może nas pozbawić wielu nazwisk. Chodzi raczej o to, co dany autor robi ze swoimi upadkami, czy stara się je „przepracować”, czy się ze sobą wadzi, czy dojrzewa – jeśli tak, to przecież może to być doskonałym paliwem dla jego twórczości, a pisarz staje się warty naszej wielkoduszności. Wystarczy przypomnieć sobie Dostojewskiego, polonofoba, epileptyka, człowieka nie zrównoważonego, nałogowca, zapewne gwałciciela, który stał się arcymistrzem literatury religijnej. Czy mógłby być dla nas tak ważny, gdybyśmy osądzili go według biografii?

Czepiam się, spieram i stawiam wysokie wymagania, których nie stawiałabym innemu krytykowi – ale oczywiste jest, że Andrzej Horubała to autor wyjątkowy, że od niego po prostu należy wymagać

więcej.

Może zatem autor „Drogi do Poznania” miał nieco słabszy okres. Może był to czas, kiedy dawny chuligan załapał się do prawicowego establishmentu, kiedy silne ramię, o którym wspominał w poprzednim tomie, pochwyliło go i wprowadziło do chóru zachwyconych – a to oczywiście nie pozostało bez wpływu na ostrość jego widzenia. A może po prostu jego czytelnicy dojrżeli, także na lekturze jego publicystyki, i łatwiej wychwytyją słabości tego pisarstwa. Pewnie i jedno, i drugie.

Tak czy siak Andrzej Horubała pozostaje najważniejszym obecnie komentatorem kulturalnym po prawej stronie. Nawet jeśli popełnia teksty zachowawcze, to i tak jest najbardziej przenikliwym i najchętniej czytany tego typu publicystą. Pozostaje też, mimo wszystko, najbliższy mojemu ideałowi krytyka – mimo że w „Drodze do Poznania” realizuje go tylko na pół gwizdka.

Ja po prostu byłam i jestem naiwna: chciałabym, żeby krytyka literacka była sporem intelektualistów – szukaniem prawdy, walką o wartość artystyczną dzieła, merytorycznym zbijaniem argumentów. Chciałabym, żeby można było wystąpić także przeciw dziełom przyjaciół czy ludzi, których szanuje się za ich dorobek życiowy, i żeby nie było to odbierane jako zdrada lub świętokradztwo. Paradoksalnie to Horubała w ostatnich latach zwykł dawać mi nadzieję, może złudną, że taka postawa jest możliwa.

Autor „Drogi do Poznania” pisze świetnie, ma swój niepodrabialny styl. Jego teksty nigdy nie są zimne i wystudiowane. Wprost przeciwnie – wydaje się, że to właśnie uczuciowość ich autora sprawia, że stają się tak bardzo precyzyjne. To skłonność do irytacji, empatii, wpadania w gniew lub entuzjazm, czasem pewnie nadmierny, sprawiają, że publicysta „Do Rzeczy” posiada ową niezwykłą zdolność wychwytywania tego, co u danego autora jest najważniejsze. W pisarstwie Horubały jest coś, co za Krzysztofem Koehlerem nazwać można „chrześcijańskim optymizmem”, radością płynącą z aktywnego obcowania z kulturą – i ta radość potrafi się udzielać jego czytelnikom. Piszę, bo wiem po sobie.

*Marta Kwaśnicka*